PLACÓWKA

ORGAN PEOWIAKÓW OKRĘGU ŚLĄSKIEGO

„PRAWDĄ I PRACĄ"

Nr. 9 | Katowice 1937 — Wrzesień | Rok II

Józef Grzegorzek.

Skarga to straszna!

Sprawa zapewnienia wszystkim powstańcom śląskim i pracownikom społecznym pracy i zarobku nie jest jeszcze załatwiona. W placówkach peowiackich i grupach Związku Powstańców Śląskich skargi przeciw tej niesprawiedliwości trwają dotąd. W poprzednim miesiącu organ Związku Powstańców Śląskich „Powstaniec" (Nr. 15) z okazji wygaśnięcia Konwencji Genewskiej zabrał głos w tej sprawie w artykule p. t. „Ostatni nasz apel" i naturalnie artykuł ten odbił się silnem echem w kołach śląskich niepodległościowców.

Wszyscy Górnoślązacy, którzy zdobyli Śląsk dla Polski, mianowicie działacze z doby przed Wielką Wojną i w czasie akcji plebiscytowej, oraz w śląskich ruchach zbrojnych — ostatni reprezentowani przez czynniki dwóch organizacji: Związek Peowiaków i Związek Powstańców Śląskich — stali i stoją zdecydowanie na gruncie rzetelnego rozwiązania tego palącego problemu. A „Powstaniec" w swym artykule w związku z tą sprawą występuje nawet z cierpkim zarzutem wobec ogółu społeczeństwa polskiego, gdy pisze między innemi:

„Kraj dotychczas należycie nie uświadomił sobie, że Śląsk jako integralna część Rzeczypospolitej Polskiej jest najważniejszym jej centrum gospodarczym. 1-o dla pozycji i znaczenia Polski w międzynarodowym koncercie mocarstw, oraz 2-o dla realnej siły i potęgi, jakich wymaga nie tylko ewentualna konieczność obrony kraju, ale przede wszystkim też nieunikniony obowiązek odegrania swej roli dziejowej. Polska bez Śląska nie miałaby ani cząstki swego obecnego znaczenia, swej wagi gatunkowej mocarstwa na arenie międzynarodowej. I Polska bez Śląska, t. j. bez kopalń, hut i przemysłu chemicznego, bez węgla, żelaza, stali i wszystkich pochodnych produktów, pozbawiona byłaby możliwości zaspokojenia potrzeb obrony kraju, ani zaś myśleć nie mogłaby o spełnieniu swej misji dziejowej."

Ludzie na Śląsku Górnym po przeczytaniu tego ustępu artykułu „Powstańca" zadają sobie pytanie: — Czy zarzut „Powstańca" jest trafny?

Według naszego rozumienia, szerokie koła ludowe w kraju nie wiedzą jakie skarby Polska przez zyskanie Śląska nabyła i jaki ma z nich pożytek, a przede wszystkim przyrost potęgi. Jednakże chociaż nie cały ogół polski, to mężowie odpowiedzialni za losy państwa, politycy, ekonomiści, wojskowi, dziennikarze, wogóle „inteligenci", czyli mówiąc językiem zwykłych śmiertelników ludzie wykształceni, stanowiący czoło społeczeństwa, — wiedzą to wszystko bardzo dokładnie! Natomiast jeśli chodzi o nader dokuczliwe aktualne bolączki obozu niepodległościowców śląskich, to niestety „Powstańcowi" przyznać musimy słuszność, gdy orzeka:

„...ZGÓRĄ PIĘĆ TYSIĘCY POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH WRAZ Z RODZINAMI OD WIELU JUŻ LAT WEGETUJE W NAJWIĘKSZEJ NĘDZY I NAJGORSZEJ PONIEWIERCE, ŻE PIĘĆ TYSIĘCY WIERNYCH ŻOŁNIERZY POLSKI, KTÓRZY BEZ WAHANIA I SKRUPUŁÓW SZLI ZDOBYWAĆ ŚLĄSK DLA NIEJ, LATA DAREMNIE WYCZEKUJĄ ZAPEWNIENIA IM FORMY BYTU GODNEJ CZŁOWIEKA." (Podkreślenie „Powstańca").

Pisarz artykułu pisząc to w organie Związku Powstańców Śląskich spełnił obowiązek zaszczytny ale i smutny: wskazał przyciśniętych nędzą 5000 spółziomków, którzy za pracę i zasługi w dziele wyzwoleńczem zasłużyli nie tylko na hołd serdeczny, ale przede wszystkim na dostateczny kęs chleba w wolnej Polsce.

Na płacenie rent zdolnym do pracy zarobkowej byłym czestnikom powstań śląskich i działaczom społecznym Polski nie stać, ale dlaczego na przykład Sejm Śląski nie postarał się o ustawę, zmuszającą ciężki przemysł i właścicieli fabryk do zatrudnienia wszystkich zamieszkałych w danej gminie i sąsiednich miejscowościach powstańców i zasłużonych w dziele wyzwoleńczem Górnoślązaków! Dlaczegóż zarządy gmin przy zamówieniach towarów i robotach nie uwzględniają w szczególności zasłużonych polskich kupców, rzemieślników i przedsiębiorców? Dlaczego wreszcie w naszych dziennikach nie ma w

sprawie zaopatrzenia powstańców nawet lichych na kolanie pisanych artykułów, aby w tym kierunku budzić wolę u kogo należy i zbudzona wola oraz ciągłe przypominanie dało rezultaty zadawalniające?!

Trzeba przyznać, że mamy w przemyśle i urzędach panów rzetelnych, którzy w postępowaniu względem polskich Ślązaków, a już zawsze w stosunkach z niepodległościowcami rządzą się sumieniem. Jednakże są też śród tych ludzi — Boże odpuść! — jegomoście, którzy wolą w piekło skoczyć, niż mieć do czynienia z powstańcem śląskim, gdy on żąda czegoś i napomknie, że jest powstańcem i walczył o przyłączenie Śląska do Polski. A tacy generalni dyrektorzy, nadinżynierowie, zawiadowcy hut i kopalń mijają się z obowiązkiem Polaka — obywatela i na starą śląską ziemię piastowską rzucają piekielnie szkodliwy dla interesów Państwa Polskiego zasiew.

Wskazać też należy na własne błędy i braki w obozie powstańców śląskich, ponieważ niedomagania te stanęły wpoprzek usiłowaniom niepodległościowców o zapewnienie każdemu peowiakowi i powstańcowi pracy i chleba. Trzeba było posiadać nietylko energię, ale i tę spoistość wewnętrzną, solidarność, jaką musi mieć taki obóz, aby skutecznie swe słuszne żądania przeprowadzić. Jedność, sprężystość i stanowczość takiego obozu nakazuje respekt, zmusza społeczeństwo do spełnienia słusznych żądań. Niech by obóz powstańców śląskich był w swych wystąpieniach chociażby tylko naprawdę solidarny, to głos jego przez wszystkich byłby słuchany. A tymczasem bywa, że powstaniec pod powstańcem dołki kopie, a co dotyczy solidarności, to łatwiej dmuchaniem pień stuletniego dębu rozsadzić, niż zaprowadzić w w śląskiej rodzinie powstańczej działanie solidarne, to jest: działanie jednego za wszystkich i wszystkich za jednego, ręka w rękę! Koniecznie tedy ze wszech sił pracować nad tym potrzeba, aby w obozie powstańców zaprowadzić solidarność, czyli jednozgodność.

Jak każdy człowiek, tak też i każdy z nas o uznanie starać się musi! Niestety, śród nas powstańców wielu jest, co myślą, że sam udział w ruchu zbrojnym pozwala na różne odskoki, jeśli chodzi o przestrzeganie w warsztacie lub biurze obowiązujących regulaminów i warunków pracy, oraz stosunku do przełożonych. Nie potrzeba szczegółowo wyliczać znanych w naszej rodzinie niepodległościowej wypadków, które zbyt często zamąciły zaufanie do naszych współtowarzyszy broni i podkopały przychylność, nawet wzajemny szacunek. Również i powstaniec śląski musi mieć tę ambicję, że wszędzie, zwłaszcza na posterunku pracy, uważany będzie za sumiennego i wzorowego obywatela. Wtedy też zmienią się nędzne stosunki nasze i lepsze dla nas nastaną czasy.

Związek Peowiaków na Śląsku w walce o sprawiedliwość dla bojowników śląskich zgodnie i całą siłą popiera apel Związku Powstańców Śląskich, apel, o którym na wstępie niniejszego artykułu jest mowa, — i w tym kierunku zespoli swe wysiłki z bratnią organizacją: Związkiem Powstańców Śląskich.

Jan Jakub Kowalczyk.

Nieco sprostowań, krytyki i polemiki.

(Chodzi o rozprawy historyczne ks. dr. Emila Szramka, w związku z jego wspomnieniami pośmiertnymi w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku).

—o—

I. Uznanie dla pracowitości ks. dr. Szramka.

Ks. prałat i kanonik dr. Emil Szramek, długoletni Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku, należy zdaniem moim do najpracowitszych literatów polskich ostatniej doby, urodzonych na Górnym Śląsku. Obserwując jego mrówczą działalność literacką, opartą bądź na źródłach, bądź na osobistych spostrzeżeniach, każdy bezstronny czytelnik przyznać musi, że ks. dr. Szramek pracami swymi znakomicie przyczynia się do utrwalenia zdarzeń i wypadków, które miały miejsce w niedalekiej przeszłości, w tym mianowicie okresie, gdy się zaczęło, odbywało i dokonało odrodzenie ludu polskiego na Górnym Śląsku. Prace jego są ważnym przyczynkiem do historii odrodzenia narodowego i służyć będą przyszłym dziejopisarzom za znakomite źródło i drogowskaz przy badaniu przeszłości ludu śląskiego ze wspomnianych czasów jego odrodzania się i ostatecznego odrodzenia.

Pamiętać jednakże trzeba, że niema na świecie człowieka, któryby wszystko wiedział i znał każdy wypadek albo mógł z precyzyjnością i pełnym objektywizmem zdawać sobie sprawę z przyczyn, które taki wypadek spowodowały. Nieraz trzeba zagłębiać się w psychikę danych jednostek, które były ich przyczyną. A to rzecz niesłychanie trudna. To też historycy często dopiero po upływie dłuższego czasu, nawet setek lat wyciągają na światło dzienne istotny stan rzeczy, prostując mylne sądy i fałszywe opinie o osobach i związanych z nimi wypadkach.

Podobnie ma się sprawa z szeregiem zajść i zdarzeń w rzekomo ściśle objektywnych zapiskach historycznych ks. dr. Szramka.

Jako jeden z świadków minionej doby, którą osobiście przeżyłem, pozwolę sobie poniżej sprostować

niektóre fałszywie ujęte i mylnie przedstawione twierdzenia szanownego autora. Stwierdzam przy tym zaraz na wstępie, że nie mam do niego żalu za to, iż w jego opisach obóz narodowy, tak zwany wszechpolski, do którego w owych czasach należałem, przedstawiony jest tendencyjnie w krzywym i wielce niesympatycznym zwierciadle, i tak samo nasza ówczesna działalność polityczna, przy czym w dodatku jeszcze ja specjalnie oberwałem za me pognębienie — zdaniem moim — największego szkodnika centrowego na Górnym Śląsku, bo ks. dr. Szramek przedstawił mnie z tego powodu jako przez wszystkich potępionego nierozważnego warchoła politycznego.

II. Wiec w Leśnicy.

Na wstępie małe sprostowanie co do podanej przez ks. dr. Szramka daty wiecu w Leśnicy, na którym po raz pierwszy jasno i niedwuznacznie wysunięto sprawę polską na Górnym Śląsku.

Wiec ten odbył się, — jak to każdej chwili stwierdzić można z roczników „Katolika", znajdujących się w Bibliotece im. marsz. Piłsudskiego przy ul. Francuskiej nr. 12, — w dniu 12 września 1880 roku. „Katolik" już kilka tygodni naprzód zachęcał ludność śląską do spieszenia na niego, bo miał to być pierwszy masowy występ ludu śląsk. i jego przywódców od czasu wybuchu „walki kulturnej". Przebieg wiecu „Katolik" podaje z mocnym okrojeniem, bo zaledwie i z odrazą wspomina o rzekomo niepoważnym występie bytomiaków, to znaczy osób, zgrupowanych około „Gazety Górnośląskiej" ks. Przyniczyńskiego, który wraz z Juliuszem Ligoniem przy energicznym poparciu młodzieży akademickiej, domagał się utworzenia na Górnym Śląsku samodzielnego i niezawisłego od centrum polskiego komitetu wyborczego, który miał wybierać posłów do Koła Polskiego w Berlinie. Śp. Adolf Ligoń, syn Juliusza, opowiedział mi obszernie o przebiegu wiecu i o wielkim wzburzeniu i zamieszaniu, jakie na nim panowało. Był on naocznym świadkiem zajść, które starałem się możliwie wiarogodnie przedstawić w mej pogawędce pt. „Wiec w Leśnicy w 1880 r." w numerach 1 i 2 rocznika I „Placówki". Otóż wiec ten ks. dr. Szramek przekłada raz na rok 1879 (Rocznik T. P. N. nr. II str. 28), to znów na rok 1882 (ten sam Rocznik str. 55), albo wreszcie na rok 1881 (Rocznik II, str. 150 i 151 oraz Rocznik V, str. 49).

Takiego mylenia dat nie można chyba nazwać poważnymi zapiskami wydarzeń historycznych!

III. Zerwanie Korfantego z „Górnoślązakiem".

Także datę zerwania Wojciecha Korfantego z „Górnoślązakiem" i założenia przez niego własnego pisma pt. „Polak" ks. Szramek podaje mylnie. Korfanty istotnie wystąpił z „Górnoślązaka" w 1905 r., i to w kwietniu czy maju, ale też w łączności z tym założył mi odrazu pod bokiem swego „Polaka", gdy odsiadywałem karę więzienną. Stało się to więc w 1905, a nie w 1906 r., jak pisze ks. dr. Szramek. (Patrz Roczniki nr. II str. 316 i nr. V str. 119).

W mym artykule „Odrodzenie narodowe Górnego Śląska" (nr. 7—8 rocznika II „Placówki", str. 118) piszę, że wolę przemilczeć przyczyny, dla których Korfanty tak postąpił. Jednakże obecnie zmuszony jestem, przytoczyć je, ponieważ ks. dr. Szramek naświetla je mylnie, pisząc (Rocznik T. P. N. nr. V str. 119): „Tak się staje zrozumiałem, że Korfanty 1905 r. wystąpił z redakcji „Górnoślązaka", zanim pismo przeszło na własność „Katolika" i założył w Katowicach 1906 r. własną gazetę p. t. „Polak".

Ks. dr. Szramek zdaje się tu przypisywać Wojciechowi Korfantemu zdolności prorocze, gdyż twierdzenie jego każe się domyśleć, jakoby Korfanty przewidywał upadek „Górnoślązaka" i nabycie go przez „Katolika" i że dla tej właśnie przyczyny wystąpił z redakcji „Górnoślązaka" już w 1905 r., a dopiero w 1906 r. założył swego „Polaka". Sprawa w rzeczywistości przedstawia się zupełnie inaczej. Piszę o tym w mej broszurze „Odrodzenie Górnego Śląska (Wspomnienia)" na str. 69/70, wydanej w 1932 r. i dziwi mnie, że ks. dr. Szramek nie wierzy mym twierdzeniom i stara się naświetlić sprawę własnym poglądem. Korfanty, gdy od stycznia do lipca 1905 r. siedziałem we więzieniu i wskutek tego byłem zupełnie unieruchomiony, wystąpił z „Górnoślązaka", którego byłem kierownikiem, i prawie równocześnie (w kwietniu czy maju 1905 roku) założył mi „pod bokiem", to znaczy w Katowicach, swego „Polaka", by „Górnoślązakowi" w czasie mej nieobecności zrobić konkurencję i według możności doprowadzić go, a przez to także mnie i innych wspólników do ruiny. Był posłem i zdawało mu się, że za jednym zamachem położy na obie łopatki „Górnoślązaka" i jego głównych właścicieli, to znaczy mnie i Jana Piechulka. Przeliczył się jednak w swych rachubach, bo parlament niemiecki prawie bezpośrednio po jego zerwaniu z „Górnoślązakiem" unieważnił jego wybór a rząd wyznaczył na dzień 12. października 1905 r. nowe wybory. Kontrkandydatem z ramienia stronnictwa centrum był znany ks. Jan Kapica, proboszcz w Tychach. „Katolik" pomimo, że od września 1903 r należał do obozu narodowego, przechylał się swymi sympatiami na stronę ks. Kapicy i pokątnie popierał jego kandydaturę a o Korfantym na ogół dyskretnie milczał. Gdybym wtedy był się kierował antypatią osobistą w stosunku do Korfantego i zaczął w niego walić w swym „Górnoślązaku", podobnie, jak to robiła socjalistyczna „Gazeta Robotnicza", — pismo moje miało wtedy jeszcze 6000 abonentów, a czytelników conajmniej trzykroć więcej! — byłbym spowodował bezwarunkową porażkę Korfantego przy

wyborach i centrowiec ks. Kapica byłby zwyciężył. Nie mogłem jednak temu uczuciu osobistemu dać folgi ze względu na fakt, że w wyborach chodziło o zwycięstwo sprawy polskiej nad niemieckim stronnictwem centrum. Poparłem tedy w mym piśmie lojalnie kandydata polskiego, który też odniósł zwycięstwo nad centrowcem. Wyznaję szczerze, że musiałem stoczyć z sobą ciężką walkę. Wszak mogłem zgnieść Korfantego, gdybym nie był kazał popierać jego kandydatury w mym piśmie. Obowiązek narodowy odniósł jednak zwycięstwo nad zdławionym w mym wnętrzu poczuciem krzywdy i Korfanty dzięki mnie i „Górnoślązakowi", któremu zawdzięczał swój rozgłos, znowu triumfował, między innymi także po to, by dalej kopać dołki pod tymże „Górnoślązakiem" i podemną.

Spełniwszy sumiennie swój obowiązek patriotyczny i narodowy, starałem się jeszcze przez z górą cztery miesiące utrzymać na powierzchni „Górnoślązaka", który tkwił głęboko w długach, głównie z powodu kosztów procesowych, — razem straty z ich powodu wynosiły 27.000 marek, — aż w końcu w lutym 1906 r. przekonałem się, że będzie trzeba odstąpić gazetę bogatemu „Katolikowi". Równocześnie ja osobiście byłbym musiał „iść na służbę" do Napieralskiego. Tym samym byłbym musiał wyrzec się mych przekonań politycznych, jak to w cztery lata później zrobił Korfanty, gdy zbankrutowawszy z kretesem ze swym „Polakiem" i „Kuryerem Śląskim", przygarnięty został życzliwie przez Napieralskiego, a następnie bez skrupułów atakował w pismach „Katolikowych" swych dawnych przyjaciół politycznych. Ja taką drogą nie chciałem iść i nie poszedłem. Ponieważ na Górnym Śląsku więcej miejsca dla mnie nie było, wyjechałem do Ameryki z dwustu pożyczonymi markami w kieszeni. Serce mi się krwawiło, ale innej drogi wyjścia nie widziałem dla siebie, tym bardziej, że groził mi nowy proces karny i czekało mnie ewentualnie kilka nowych miesięcy więzienia, w którym gnić nie miałem ochoty. Korfanty, by już powiedzieć całą prawdę, dla tego wystąpił z redakcji „Górnoślązaka" i założył swego „Polaka" właśnie w kwietniu czy na początku maja 1905 r., ponieważ mógł się zemścić na mnie, unieruchomionym we więzieniu za to, że we wrześniu 1903 r. z mojej inicjatywy doszło do zawarcia ugody i zgody między Towarzystwem Wyborczym „Górnoślązaka" i Towarzystwem Ludowym „Katolika". On chciał był „królem" na Górnym Śląsku przy mym czasowym współudziale i nie mógł mi wybaczyć, że dopuściłem do tego jego „panowania" Napieralskiego, ks. Skowrońskiego i wogóle cały obóz „katolikowy". Ja z mej strony dążyłem do zaniechania walki i do zawarcia pokoju między powaśnionymi obozami w myśl zasady: zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Za to zostałem srogo przez los ukarany i musiałem iść na tułaczkę kilkunastoletnią, podobnie, jak teraz Korfanty musi tułać się po świecie. Zaprawdę, dziwne są zrządzenia Opatrzności, w którą, jak jestem przekonany, Korfanty dziś szczerze wierzy.

IV. Wiec w Raciborzu.

W Roczniku nr. II str. 152 ks. dr. Szramek pisze o wiecu katolików w Raciborzu, który się tam odbył w lipcu 1891 r. Twierdzi, że „ostatecznie doszło po długich i mozolnych pertraktacjach do porozumienia i odbył się **jeden wspólny wiec**, na którym dużo mówiono też o kwestii narodowej".

To jest wielka pomyłka, gdyż „Nowiny Raciborskie" donoszą, że wiecowników podzielono — zresztą zgodnie z życzeniami Polaków — na dwie partie: niemiecką i polską. Dla Polaków wynajęto salę w łazienkach Krolla na przedmieściu Raciborza i tam pod przewodnictwem ks. Woyskiego z Łącznik, wsi, położonej na pograniczu powiatów kozielskiego i prudnickiego, poseł Zaruba mówił na pierwszym zebraniu o śp. Windhorście a na drugim ks. dr. Chrząszcz o misjach w Afryce, gdy na wiecu niemieckim we śródmieściu omawiano sprawy polityczne pod przewodnictwem hr. Strachwitza a ten przy pomocy dr. Porscha unicestwił uchwalony przez wiecowników wniosek ks. dr. Chrząszcza o wysłanie petycji do rządu w Berlinie w sprawie języka polskiego w szkołach ludowych.

Nieuczciwe obchodzenie się na tym wiecu z Polakami wytykał Niemcom jeszcze w cztery lata później właściciel dóbr marklowickich Grittner na wiecu przedwyborczym w Żorach w dniu 8 września 1895 r., na którym większość polska na wniosek obywatela Witka z Mikołowa postawiła kandydaturę adwokata Radwańskiego z Pszczyny tak do sejmu pruskiego jak do parlamentu niemieckiego. Wszystkie te fakty można znaleźć w odnośnych rocznikach „Nowin Raciborskich" względnie „Katolika". Przytaczanie poszczególnych numerów uważam za zbyteczne.

W każdym razie faktem niezbitym zostaje budzące niesmak twierdzenie, na co ks. Szramek nie kładzie żadnego nacisku, że Niemcy centrowi na wiecu raciborskim obeszli się z Polakami bardzo nie po katolicku, co im także wytykała „Gazeta Robotnicza", szydząc z przemówienia ks. dr. Chrząszcza z Pyskowic na temat misyj afrykańskich, jak gdyby na Śląsku nie było dla Polaków ważniejszych spraw do omawiania i załatwiania.

V. Proces bytomski.

Księża-germanizatorzy, — a tych była przeogromna większość na Górnym Śląsku, bo na przeszło 400 około 390, — po ogłoszeniu orędzia ks. kardynała Koppa przeciwko redaktorom „Górnoślązaka" z 3 czerwca 1903 r. tak się rozzuchwalili, że zaczęli

pod wszelakim względem szykanować czytelników „Górnoślązaka", odmawiając im pociech i usług religijnych, jak odmawianie rozgrzeszenia, chrztów dla noworodków, grzebania dzieci czytelników na cmentarzu itd. „Górnoślązak" notował skrupulatnie na swych łamach te wybryki księży, podlewając je nieraz swoistym sosem.

To rozgniewało księży winowajców i zwrócili się do kard. Koppa z wnioskiem o wytoczenie „Górnoślązakowi" procesu o obelgę. Istotnie ks. kardynał w swoim i szeregu księży imieniu wytoczył proces odpowiedzialnemu redaktorowi Antoniemu Wolskiemu, dzisiejszemu prezesowi Wielkopolskiej Dzielnicy Sokolej.

W tym samym mniejwięcej czasie ks. Michał Przywara napisał do „Górnoślązaka" list, który też został ogłoszony w listopadzie 1903 r., że od mniej więcej 15-tu lat każdy zgłaszający się o probostwo wikary musi złożyć władzy świeckiej, np. landratowi, przyrzeczenie, że będzie popierał germanizację. Kardynał Kopp twierdzenie to uznał za zarzut symonii pod adresem księży, którzy probostwa otrzymali, i wytoczył „Górnoślązakowi" drugi proces. Ponieważ sąd uznał odpowiedzialnego redaktora Zientaka, który odnośny numer „Górnoślązaka" podpisał, w pewnym innym procesie za niezdolnego do odpowiadania za to, co było w gazecie pomieszczone, prokurator zrobił odpowiedzialnym za artykuły głównego kierownika pisma, a tym byłem ja. I tak czekał mnie ciężki proces o zarzucanie księżom symonii, za co groziła mi kara więzienna do dwóch lat.

Najpierw odbył się proces przeciwko Antoniemu Wolskiemu; rozpoczął się on 23 marca 1904 r. i trwał dwa dni, po czym z powodu święta Najśw. Marii Panny w dniu 25 marca musiała nastąpić jednodniowa przerwa. Redaktorowie wyzyskali ten czas na pertraktacje telegraficzne z księdzem kardynałem za pośrednictwem jego delegata na procesie, ks. radcy Buchmanna. Rezultatem ich było cofnięcie skargi nie tylko przeciwko redaktorowi Wolskiemu o obrazę duchowieństwa, ale także przeciwko mnie o zarzut symonii. Muszę jak najdobitniej podkreślić, że w pertraktacjach była mowa tylko o procesie redaktora Wolskiego, nigdy zaś o moim, który mnie czekał. Kardynał Kopp wycofał skargę przeciwko mnie z własnej inicjatywy. Sprawę całą opisałem we wspomnianej już wyżej broszurze „Odrodzenie Górnego Śląska" (Wspomnienia) str. 47—55.

Nie wiem, dla czego ks. dr. Szramek przedstawia przyczyny procesu i przebieg pertraktacyj redaktorów „Górnoślązaka" z ks. kardynałem Koppem w odmiennym świetle (Rocznik II str. 313/314 i V 119/120). Szczególnie mnie osobiście dotyczy zdanie, że „po długich targach o odwołanie drugiego zarzutu", to znaczy o zarzut symonii, „skargę wycofano". Muszę jeszcze raz z całym naciskiem podnieść, że żadnych targów odnośnie wycofania procesu przeciwko mnie nie było. Zrobił to kardynał Kopp z własnej inicjatywy i woli. Prosić go o to nigdy nie zamierzałem. Proboszcz bogucicki ks. Skowronek i jego towarzysze też nie mieli nic do wycofywania, bo w ich imieniu działał sam kardynał Kopp. Więc i to twierdzenie ks. dr. Szramka jest mylne.

Że w kilka dni później (12 kwietnia 1904 r.) ks. kardynał wyraził się o ks. Buchmannie w liście do proboszcza bytomskiego ks. Schirmeisena, że się w sądzie zachował jak niemowlę, to ks. Buchmannowi żadnej nie przynosi ujmy, gdyż zachował się nie tylko jak niemowlę, ale jak prawdziwy anioł pokoju, bo przez wycofanie za jego pośrednictwem obu procesów, kard. Kopp położył kres zaciekłej agitacji germanizujących księży za pomocą kościoła, jego urządzeń i instytucyj. Gdyby takich „niemowląt" w sutannie w owych czasach było więcej na Górnym Śląsku, nie bylibyśmy potrzebowali staczać z duchowieństwem tak zaciekłych walk o polskość ludu górnośląskiego, jak to musieliśmy robić.

Cieszy mnie natomiast, że ks. dr. Szramek przy tej sposobności (Rocznik V str. 121) przytoczył następujące zdanie o bezsprzecznie najsprawiedliwszym w owych czasach kapłanie polskim na Górnym Śląsku, pisząc: „Ks. Skowroński ubolewał, że per accidens ucierpiała przez proces powaga duchowna, ale był kontent, że złamany został nareszcie teror centrowych księży wobec ludu". To oświadczenie na prawdę sprawiło mi i wciąż sprawia wielką radość, gdyż jest najistotniejszym przyznaniem słuszności naszej ówczesnej pracy jak i potępieniem niecnych praktyk księży germanizatorów, którymi gnębili lud górnośląski.

VI. Po procesie bytomskim.

Dla zwalczania ruchu narodowo-polskiego na Górnym Śląsku księża centrowi po różnych innych próbach założyli w 1896 r. w Królewskiej Hucie „Gazetę Katolicką". Ponieważ nie mogła dać sobie rady z „Górnoślązakiem", na wniosek wielce agresywnego w owym czasie ks. Kubisa z Załęża i za zgodą ks. kardynała Koppa (Roczniki T. P. N. nr. V str. 76) wydawcy powołali w 1903 r. na jej redaktora ks. dr. Stanisława Stephana. Był to bezsprzecznie zdolny redaktor, ale miał ten mankament moralny, że w razie potrzeby nie liczył się z sumieniem i wytaczał przeciwko „Górnoślązakowi" i jego redaktorom najcięższe kolubryny, jakie mu się nasuwały.

Jak wszystkim księżom centrowym tak i jemu był strasznie nie w smak wynik procesu bytomskiego. Wszak było to niesłyszane od niepamiętnych czasów napiętnowanie gwałtów i nadużyć, którymi osoby duchowne dla celów czysto świeckich i politycznych dręczyły wierny i szczerze do Kościoła przywiązany

lud górnośląski. Rozpisywała się o tym znęcaniu się nad sumieniami ludzkimi prasa nie tylko polska, ale obca, szczególnie niemiecka w Niemczech i Austrii. Uważała ona sprawę za najgorszy skandal, jaki kiedykolwiek zaszedł w łonie Kościoła katolickiego.

Plamę tę, ciążącą na politykującym duchowieństwie centrowym, postanowił zmyć właśnie redaktor „Gazety Katolickiej", ks. dr. Stephan. Posłużył się do tego celu dwoma wcale nie licującymi z duchem katolickim środkami. Szkoda, że ks. dr. Szramek wywlókł sprawę na światło dzienne, bo stokroć lepiej byłoby dla sprawy katolickiej, gdyby była na zawsze zczezła i przepadła w zapomnieniu i nicości. Ale ponieważ nasz ks. historyk odgrzebał ją i przedstawia ją w niewłaściwym świetle, muszę się nią zająć.

Ks. Kapica, który wówczas należał do zaciekłych szermierzy centrowych i najzagorzalszych przeciwników rodzącego się polskiego ruchu narodowego na Górnym Śląsku, nabył i dostarczył ks. Stephanowi głośną w owym czasie książkę Scriptora „Nasze stronnictwa skrajne". Pod pseudonimem Scriptora ukrywał się Erazm Pilz, drugi redaktor konserwatywnego tygodnika „Kraj", wychodzącego w Petersburgu. Pilz wybrał i zestawił różne urywki z pism tajnych i jawnych ówczesnego obozu wszechpolskiego czyli Narodowej Demokracji oraz organizacyj socjalistycznych i doszedł jako konserwatysta polski do wniosku, że endecja była dla sprawy polskiej jeszcze bardziej zdradliwym i niebezpiecznym stronnictwem niż różne odłamy socjalistyczne razem wzięte. Później, po wielkiej wojnie światowej Erazm Pilz zmienił swe zdanie i, o ile mi wiadomo, sam przystąpił do endecji. W każdym razie w owym czasie przedstawił obóz wszechpolski w najgorszym świetle a członków jego utożsamił ze zdrajcami państw zaborczych.

Ponieważ redaktorowie „Górnoślązaka", szczególnie Karas, Korfanty i Kowalczyk otwarcie przyznawali się do przynależenia do endecji, więc według książki Scriptora prokuratorowie państwa zaborczego mieli prawo osadzić ich we więzieniu śledczym i wytoczyć im proces o zdradę stanu.

Na ks. Stephana rzuca ponure światło świadomego denuncjanta, fakt, że po procesie bytomskim, wykorzystawszy najjaskrawsze ustępy z książki Scriptora, ogłosił je jako obszerną część pierwszą swej własnej paszkwilanckiej książki p. t. „Der Beuthener Prozess im Lichte der Wahrheit". Ks. dr. Szramek twierdzi (tom V str. 76), że ks. Stephan książką swą „zdemaskował tajną dotychczas pracę Narodowej Demokracji na Górnym Śląsku". W rzeczywistości ks. Stephan nie tyle „zdemaskował", ile z jak największą perfidią i pełną świadomością zadenuncjował u władz pruskich redaktorów „Górnoślązaka", posądzając ich o zdradę stanu i ciesząc się z góry, że spowoduje zamknięcie ich za kratą.

Argumenty jego jednakże nie były widocznie dosyć przekonywujące dla prokuratora pruskiego, zawsze tak skwapliwego przy czepianiu się każdej możliwej okazji do wytaczania procesu „Górnoślązakowi", bo nie skorzystał z denuncjacji redaktora w sutannie i zostawił redaktorów znienawidzonego pisma na wolności. To też ks. dr. Szramek (tom V str. 120) zmuszony jest stwierdzić, że „proces bytomski był moralnym zwycięstwem ruchu polskiego. Tego ogólnego wrażenia nie zdołała osłabić ani obszerna i zresztą ciekawa książka dra Stephana, założona jako apologia kleru górnośląskiego.

A na czym polegała ta rzekoma „apologia"? Otóż na drugiej niecnej robocie ks. dr. Stephana. Rozesłał mianowicie do wszystkich księży, których w procesie bytomskim świadkowie pod przysięgą napiętnowali za ich nadużycia władzy duchownej, i ściągnął od nich piśmienne oświadczenia, że co świadkowie pod przysięgą zeznali, nie zgadza się z prawdą. Oświadczenia te następnie zestawił w omówionej książce z zeznaniami świadków, każdemu z nich bez zachłyśnięcia się zarzucając krzywoprzysięstwo.

Była to więc najnikczemniejsza niegodziwość i gdyby prokurator był poszedł za podsuniętym mu przez ks. Stephana pomysłem, byłoby dostało się do aresztu śledczego z górą 70-ciu byłych świadków z procesu bytomskiego a następnie odbyłby się monstrualny proces o krzywoprzysięstwo, w którym księża-centrowcy byliby obwiniali swych parafian o tę właśnie zbrodnię, zaś „Górnoślązak" byłby dostarczył dziesiątki i setki świadków odwodowych na dowód, że podsądni zeznawali sumiennie szczerą prawdę. Na szczęście prokurator nie poszedł na gołoledź, zaleconą mu podstępnie przez ks. Stephana i kler górnośląski został uchroniony przed jeszcze większą kompromitacją niż ta, której część jego zaznała w procesie bytomskim.

Mnie osobiście ks. dr. Stephan także w bezczelny sposób zarzucił w swej gazecie krzywoprzysięstwo, gdy w procesie dziennika socjalistycznego „Vorwärts" w Berlinie zacytowano mnie na świadka i musiałem zeznawać według najlepszej wiedzy i sumienia o przyczynach i przebiegu procesu bytomskiego. Musiałem wskutek tego zaskarżyć odpowiedzialnego redaktora „Gazety Katolickiej", Franciszka Borysa. Celem uniknięcia cięższej kary przyznał mi się na rozprawie sądowej w Katowicach, gdy dla autora artykułu był już minął półroczny termin możliwości pociągnięcia go do odpowiedzialności, że artykuł napisał sam ks. dr. Stephan. Wtedy sam prosiłem sąd o wymierzenie oskarżonemu możliwie najniższej kary, gdyż był tylko parawanem dla właściwego paszkwilanta. Sąd, przychylając się do mego wniosku, skazał Borysa na 150 marek grzywny.

Ks. dr. Szramek nie może wobec tego dziwić się, że ks. Stephanowi należała się ode mnie odpowiednia odprawa i że czekałem tylko na sposobność, by go utrącić i uniemożliwić na Górnym Śląsku.

(Dokończenie nastąpi).

Julian Ochorowicz.

NAPRZÓD

Nie ten zna burzę, kto miotan wichrami
Na pełnem morzu napotykał gromy;
Nie ten zna walki, kto zbratan z działami
I z hukiem boju znajomy!
Lecz kto bez chleba i bez łzy bratniej
Przez tłumy ludów sam, siłą własną
Szedł — i zdobywał z życiowej matni
Każdy kęs chleba, każdą myśl jasną;
Kto bez promienia rodzinnej wiary
Rzucony w otchłań, przeszedł przez piekło
I nie spalony ogniem ofiary,
Szedł wciąż, choć szczęście przed nim uciekło.
O, ten zna walkę... Bracia! przed nami
Taka dziś walka stoi otworem:
Naprzód! Kto padnie, wspomnim ze łzami,
Kto wytrwa — będzie nam wzorem!
Naprzód! Przed nami świat do zdobycia,
Nadzieji tysiąc, zawodów tysiąc;
Lecz nim przebędziem pierwszy próg życia,
Pierwej z nas każdy musi tu przysiądz,
Przysiądz na wszystkie świętości ziemi,
Że póki serce w piersiach bić będzie,
Do walki życia pójdzie z innymi
I chwałę siłą zdobędzie!
My chcemy walki — lecz nie tej krwawej,
Co świat napełnia zwierzęcym wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swej sławy
I krwawym dumna oklaskiem...
Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
Ogniem i mieczem burzy i straszy...
My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy!
Co kraj oświeci wiary światłością,
Walki, dla której świat jest miłością,
Zimna rozwaga — nadzieją!
Chcemy los własną kierować dłonią
W walce, wśród której wodzem jest stałość,
W walce, dla której praca jest bronią
A sprzymierzeńcem — wytrwałość!
O, bo pieśń nasza to nie ta łzawa,
Słodka melodya niebiańskich ptaszyn;
O, bo pieśń nasza to fabryk wrzawa,
Stuk młotów i turkot maszyn!
To myśl, co tęskni w ludzkości sercu
I nad znikome życie ulata;
To głos, co w bliźnim i różnowiercu
Znajdzie człowieka, druha i brata!
Więc nim się krótki sen życia prześni,
Nim drogę trudów przebędziem ślizką,
Chowajmy w duszy dźwięk bratnich pieśni
I bratnich uczuć ognisko!
A gdy czas, spieszmy zagnani wiedzą,
Sokolim lotem do pragnień szczytu,
Niech o nas przyszłe wieki powiedzą,
Żeśmy zbliżyli promienie świtu!
Żeśmy nad ludów zburzone fale,
Łódź naszych losów kierując myślą,
Wznieśli i wiedli w dłoni zuchwale
Tam, gdzie w oddali, po nad głów tłumem,
Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy drzewa,
Okryty chwałą, z tajemnym szumem,
Sztandar postępu powiewa!
Lecz nim go nasze dłonie pochwycą
I wzniosą w górę u snów zenitu,
Bądźmy dla wieków złotą skarbnicą,
Dla gromów — skałą z granitu.

Kronika Peowiacka

Okręgowy komunikat organizacyjny Nr. 73.

Pkt. 1. Tworzenie formacji wojskowych Obrony Narodowej.

We wrześniu br. pojawią się w niektórych miejscowościach Województwa Śląskiego publiczne obwieszczenia o zaciągu do Obrony Narodowej. Obronę tą na wzór formacji wojskowych postanowił stworzyć Pan Minister Spraw Wojskowych.

Jest to rodzaj wojska, w którym służbę obowiązkową pełnić będą rezerwiści, — O. N. będzie formowane na zasadach terytorialnych i każdy z nich będzie służył w oddziale istniejącym w jego miejscu zamieszkania.

Służba będzie polegała głównie na gotowości bojowej w czasie wojny i pokoju. Zbiórki i ćwiczenia będą wynosiły najwyżej 40 dni do roku, — liczone one będą w stosunku do służby wojskowej dzień za dzień. Każdy żołnierz O. N. otrzyma kompletny mundur i ekwipunek do domu; broń natomiast będzie zgromadzona w miejscu postoju jednostek.

Służbę O. N. będą mogli pełnić przede wszystkim ochotnicy:

a) z pośród przedpoborowych, mających najmniej I. stopień p. w. (od 17 do 21 lat),

b) z pośród poborowych nadkontygensowych,

c) z pośród kombatantów, którzy ćwiczeń nie będą odbywali, ale których zadaniem będzie dawać przykład i wywierać moralny wpływ na bojowość,

dyscyplinę i gotowość oddziałów, do których zostaną przydzieleni jako pomocnicy d-ców od plutonu wzwyż. B. kombatanci (członkowie Zw. Peowiaków, Zw. Powstańców Śląskich, Zw. Legionistów Polskich i t. d.) otrzymają z O. N. również mundur i ekwipunek do domu.

Warunki przyjęcia ochotników do O. N.: podanie uzupełnione metryką urodzenia, świadectwem obywatelstwa polskiego i świadectwem moralności, a przedpoborowi pozatem pisemną zgodę rodziców; tak podanie, jak i załączniki są w myśl ustaw o służbie wojskowej wolne od wszelkich opłat stemplowych.

Pożądanem jest składanie podań zbiorowo do Kół Pow. wzgl. Komend Placówek i zbiorowe załatwianie przez Zarządy za petentów wszelkich formalności związanych z wydostaniem potrzebnych załączników od gmin, magistratów, starostw, probostw itd.

Pracownicy o stałej pracy nie będą mogli być pozbawiani jej w razie powoływania na zbiórki i ćwiczenia.

Pkt. 2. Znaczenie formacji O. N. — wezwanie.

Wyjaśniamy, że Państwo nasze może stworzyć przymus służby w O. N. podobnie jak w wojsku stałym, woli jednak stworzyć typ żołnierza — ochotnika ze względu na wartość moralną takich żołnierzy. I właśnie my, b. peowiacy najlepiej może rozumiemy, że cała wartość wojska to głównie wartość moralna taka, która daje największy zapał i największą gotowość bojową ludzi do obrony własnej chaty, własnej rodziny, własnego warsztatu pracy, — formacje O. N. bowiem przeznaczone będą przede wszystkim do obrony najbliższych i tam będą oni służyć i w razie potrzeby walczyć, gdzie się urodzili, lub gdzie stale albo dłużej mieszkają.

Do O. N. nie przyjmuje się osób obcych narodowości.

Wszystkie organizacje b. kombatantów i pracujące nad p. w. powołane są do szlachetnego współzawodnictwa w tym kierunku, aby dać jaknajlepszych żołnierzy do O. N., gdyż żadną z nich nie będzie miała możności jakiejś przewagi, lub zawiści do innych.

Związek nasz rozumie tworzenie O. N. jako rozkaz, który postara się wykonać jaknajlepiej i cały swój wysiłek położy w tym kierunku ,aby synowie peowiaków, którzy w O. N. będą służyli — **byli wzorem, a starsi byli głównym motorem moralnym O. N.** —

Wzywamy peowiaków całego Okręgu Śląskiego do gotowości na wezwanie wstępowania do O. N., które to wezwanie jak już zapowiedzieliśmy, ukaże się w przyszłym miesiącu, — wzywamy do dołożenia starań, aby do O. N. poszli jaknajlepsi ich synowie na szeregowców, nasi zaś członkowie na pomocników moralnych d-ców O. N.

Za Zarząd Okręgu:

Sekretarz Okręgu (T. Małecki)

V-Prezes Okręgu (kpt. R. Kawalec).

—o—

Z życia Niepodległościowców.

Komenda Placówki Związku Peowiaków w Piotrowicach Śl. odbyła w środę, dnia 8 bm. swe I. powakacyjne plenarne zebranie miesięczne przy bardzo licznym udziale członków i kandydatów placówki. Zebraniu przewodniczył Komendant Placówki obyw. Alojzy Biczysko, który odczytał m. i. nadesłany okólnik związkowy jak też zreferował bieżące sprawy organizacyjne i gospodarcze. Następnie wygłosił zast. komendanta placówki obyw. Jerzy Wrazidło aktualny referat polityczno-gospodarczy, w w którym omówił m. i. 11-letni jubileusz rządów P. Wojewody Śląskiego Dra Michała Grażyńskiego jak również ustawę o zaopatrzeniu niepodległościowców. Referat wysłuchali zebrani z wielkim zainteresowaniem. Zebrani postanowili urządzić w niedzielę 19. 9. br. od godz. 13-tej do 17-tej strzelanie w strzelnicy K. P. W. przy warsztatach kolejowych w Piotrowicach. W sprawach zreferowanych przez przewodniczącego zebrania zabrali głos m. i. obyw. Hajduk Alfons, Kaszyk Wawrzyniec, Materla Jerzy i Gierlotka Józef. Termin następnego plenarnego zebrania miesięcznego wyznaczył przewodniczący zebrania na środę, dnia 6. 10. br. o godz. 19-tej w nowej szkole w Piotrowicach.

———

A. Juźwik.

Regulamin P. O. G.

W poprzednich numerach „Placówki" opisywałem zasady, na których oparty jest regulamin P. O. G.

Zasady te mogą być ubrane w rozmaite formy i słowa, treść ich daje pole do rozmaitych przemówień i referatów, ale działanie nie może odbiegać od następujących reguł:

I. P. O. G. nie tworzy nowej organizacji, lecz **łączy** istniejące polsko-chrześcijańskie organizacje społeczne i gospodarcze oraz pojedyńczych obywateli.

II. Ideą kierującą działaniem P. O. G. jest idea braterstwa między Polakami, etyką kierującą działaniem członków P. O. G. jest etyka chrześcijańska.

III. W P. O. G. łączą się polsko-chrześcijańskie organizacje, przez **delegacje,** wchodzące w skład lokalnych Komitetów; wszystkie organizacje społeczno-gospodarcze mają w nich równe prawa; dobór kierowników i decyzje w Komitetach oparte są nie na kluczu liczebności, lecz na zasadzie znajomości i umiejętności spraw gospodarczych; żaden przy tym zawód i żadne zagadnienie nie może być odrębnie załatwiane: **część musi być zawsze uzgodniona z całością.**

IV. P. O. G. łączy nie tylko istniejące organizacje i pojedyńcze osoby do walki o wolność gospodarczą Polski — ale zobowiązuje do współdziałania 4 grupy gospodarcze: urzędników, robotników, pracodawców i pracobiorców.

Przy idei braterstwa i etyce chrześcijańskiej jest to **nasza, polska metoda usunięcia niewoli gospodarczej, jest to nasza metoda przeciwstawiająca się komunizmowi, socjalizmowi, faszyzmowi i wszelkim warchołom.**

Tylko przez zobowiązanie do współdziałania i wykonywanie tego współdziałania wszystkich 4 grup gospodarczych w imię braterstwa wśród Polaków i w myśl nakazów etyki chrześcijańskiej, może nastąpić zjednoczenie narodowe i zatriumfować wolność gospodarcza w naszym Narodzie i Państwie.

V. Na rozpoczęcie walki o wolność gospodarczą trzeba, aby P. O. G. działała:

1) twórczo, tj. tworzyła brakujące nam placówki gospodarcze i
2) rozpoczęła odrazu bojkot rozumny, tj. popierała gospodarczo przede wszystkim tam, gdzie już jesteśmy samowystarczalni, a gdzie jesteśmy zależni — dążyła do sparaliżowania szkodników gospodarczych w Polsce i stopniowego zastąpienia ich przez własnych gospodarzy; działalność tego rodzaju musi być legalna, bez gwałtów, ale oparta na prawie **Narodu Polskiego do gospodarowania we własnym Państwie!...**

Przejdźmy do części organizacyjnej regulaminu, a więc zasad tworzenia komitetów.

Komitety te mają opisany w regulaminie tylko skład organizacyjny. Skład ten trzeba w użyciu, w realnym działaniu wykorzystać do pracy, a więc do wykonania poprzednio streszczonych zasad (ujętych w pierwszych §§ regul. P. O. G.).

W tym celu trzeba odróżnić członków, którzy są tylko do współdziałania oraz reprezentacji od członków, którzy mają wykonywać prace nakazane przez zasady P. O. G. lub uchwalone przez cały Komitet.

Do reprezentacyjnych należą ci wszyscy, którzy wchodzą do komitetów jako delegaci lub delegacje, do wykonawców zasad P. O. G. i uchwał Komitetów należą:

1. prezes, 2. sekretarz, 3. kierownik organizacyjny, 4. kierownik rejestracji i 5. kierownik planowania.

Pierwsi trzej muszą doprowadzić skład i działanie Komitetu do zasady współdziałania 4 grup gospodarczych na terenie Komitetu.

Kierownik rejestracji musi doprowadzić do dokładnego i bieżąco uzupełnianego spisu stanu posiadania polskiego na terenie Komitetu, a kierownik planowania musi **wraz ze znawcami** zawodów oprzeć się na:

a) rejestracji polskiego stanu posiadania w swoim rejonie i
b) na znajomości lokalnego rynku

aby **inicjować, doradzać i organizować brakujące placówki gospodarcze** w danej m. m.

Zdobycie na te placówki funduszów **doradza i pomaga zorganizować cały komitet** i cały komitet musi **utrzymać nową placówkę przez zobowiązanie swych członków do jej popierania.**

W ciągu działalności komitetu sekretarz i kierownik organizacyjny zdobywają coraz więcej członków i stosują za uchwałą komitetu represje do członków zarejestrowanych w P. O. G. za niepopieranie przede wszystkim swoich, represje przewidziane w regulaminie P. O. G.

W ten sposób działalność komitetu przedstawionego w regulaminie P. O. G. tylko co do składu i sposobu powstawania — staje się praktyczną i stosuje zasady naczelne — a więc pierwsze paragrafy tego regulaminu.

WRZESIEŃ

Coraz ciszej. Wrzesień! wrzesień!
Słońce rzuca blask z ukosa, i dzień krótszy, chłodna rosa...
W pożegnanie grają lasy, barw tysiącem pełnych krasy;
Miedzią, złotem i rubinem, i szmaragdem, i bursztynem.
Na jesieni świat się mieni i w dobrane gra kolory,
Pajęczyny srebrem dziany, jak kobierzec różnowzory
Na dzień wielki rozesłany. Cicho, chłodno, jakoś smętno,
Czule, rzewnie i pamiętno; bo wianuszki dawno zwite,
Wielkie prace odprawione... A więc słońce złotem ciska,
A złociste łanów ściernie srebrną gazą się połyska.

— — — — — — — —

„Wrzesień — to jesień", mówi poeta; w polach coraz widniej, na świecie coraz chłodniej. Świegot w gromady zbitego ptactwa, ryk bydła, rżenie koni od błonia i rzeki — oto głosy przyrody we wrześniu. Lato, w klimacie naszym, nie przechodzi łagodnie do jesieni, ale przejście owo charakteryzują burze nawalne, zwykle pod koniec żniw przypadające.

O dniu 1-szym września (Św. Idzi) istnieje przysłowie: „Święty Idzi — w polu nic nie widzi". Przysłowie to słuszne, bo już na początku miesiąca września:

Smutno na polach; gdzie bujne fale
Chwiały się pszenicy, żyta,
Już wiatr jesienne zawodzi żale,
Ziemia jesiennej mgły syta.

Hen, po zagonach, jałowe ściernie.
Pamiątki po zbóż pogrzebie,
Tysiącem oczu wciąż miłosiernie
Szukają słonka po niebie.

— — — — — — — — —

Jesień przyszła! Czerwone są krzewy jagodowe, złotem mienią się listki drzew. Za dnia słonko jeszcze niezgorzej grzeje, ale noce są już jesienno-chłódne. Pod koniec miesiąca bywa, że twardy wiatr przynosi szare obłoki i gęsty zimny deszcz. Lud też mówi, że „Św. Mateusz dodaje chłodu i raz ostatni podbiera miodu". Wreszcie wierzy, że „Grzmot w dzień Św. Michała, żyzność przyszła — Bogu chwała".

— — — — — — — — —

Nie wiadomo dokładnie, skąd pochodzi nazwa tego miesiąca. Niektórzy wyprowadzają ją od wrzosu, który we wrześniu po lasach kwitnie. Lud utrzymuje, że: „Gdy nadejdzie wrzesień, wieśniak ma pełną stodołę i kieszeń"; przysłowie słuszne, o tej porze najwięcej jest owoców i innych wytworów ziemi. Właściciele sadów mają utrapienie ze szkodnikami, dla których żaden płot nie jest za wysoki a każde drzewo dostępne. Nie pomagają przestrogi, karcenia; dziatwa włościan gospodaruje w sadach iście po tatarsku: nie tylko obrywa owoce, ale łamie gałęzie, wydeptuje trawniki. Dziwić się temu nie można, ponieważ starsi zwykle kradzieży owoców nie uważają za występek.

Ostatnie słowo!

Kłótnie i swary nie dadzą się w tym świecie pominąć, jak długo żyć będą ludzie na ziemi. Można tylko próbować, z każdą sprzeczką możliwie szybko zrobić koniec i troszczyć się o to, że żaden kolec nie pozostanie. Ale bywa, że najlepszą wolę niweczy okoliczność, iż jeden z kłócicieli, chociażby przyszło głowę dać, „ostatnie słowo" mieć musi.

Właściwie trudno zrozumieć- dlaczego ludzie prawie każdy spór w nieskończonność ciągną i wadzą się, tylko dlatego, ażeby jako ostatni złożyć swój pogląd. A potym się przepraszają!

Nad przyczynami takiego dziwnego zachowania się w kółku rodzinnem, na zebraniach towarzyskich i organizacyjnych, w rozmowach politycznych itp. ludzie tacy prawdopodobnie nigdy nie pomyśleli. Żyje w nich jeno niejasne uczucie, że utraciliby swój „autorytet", jeśli wszędzie i zawsze „ostatniego słowa" mieć nie będą. Prosto powiedziawszy jest to znak „zwycięstwa", gdy drugi milczeć musi, a nieustępujący w sprzeczce uparciuch jeszcze raz głos swój podniesie. Jest to tak, jak gdyby nieprzyjaciel na głowę pobity zeszedł z pobojowiska, a zwycięzca wygodnie rozpostarł się na polu walki. Krótko i węzłowato: „Kto ma „ostatnie słowo", ma słuszność!

Upartość, z jaką niektórzy ludzie na „ostatnim słowie" obstają, nie jest jednak cechą duchowej mocy, lecz właściwie niedostatkiem wewnętrznej pewności, bardzo jaskrawą potrzebą, wobec drugiego mieć widoczne uczucie przewagi, potrzebą, która jest charakterystyczną dla każdego człeka, który niepewnie na swych obu nogach stoi. Upartość, zwłaszcza w rzeczach bez wielkiego znaczenia jest niecnotą, a jakżeż trudno od tego narowu się uwolnić. Doświadczenie to zrobił napewno każdy, co ma skłonność do posiadania „ostatniego słowa". Tu pomaga tylko samowychowanie i przekonanie, że w sporze o jakąś rzecz ostatecznie nie rozstrzyga wcale niepoważny objaw, kto ostatni gębę zamknie, lecz rzecz, o którą spór się toczy.

O człowieku nieustępnym, zaciętym, upierającym się przy swoim, staropolski pisarz Mikołaj Rej powiedział: „Ledwie mu palcem prawdy nie ukażesz, a on przedsię upór dzierży". A lud nasz na Śląsku Górnym o uparciuchu ma trafne porównanie: „Uparty jak kozieł". Jeżeli żona jest pełna zaciekłości i w każdej sprzeczce z mężem „ostatnie słowo" mieć musi, on żali się przed sąsiadem: „Rozumu jej nie nauczysz, bo uparta jak czart". Wreszcie lud ma też radę na uparciucha, bo powiada: „Na upartego kij!" I słusznie tak radzi, bo innego lekarstwa na upór niemasz.

———

Franciszek Knejski.

Powrót z tułaczki.

(Wspomnienie uchodźcy-powstańca)

Amnestia!

W dniu 6 lipca 1921 r. ogłoszono odezwę dla ludności górnośląskiej oznajmiającą, że Komisja Międzysojusznicza Rządząca i Plebiscytowa Górnego Śląska wydała amnestię „dla wszystkich czynów przeciwnych prawu", a szczególnie popełnione z okazji ruchu politycznego, lub spowodowane walką narodowościową i zbrojnego powstania, z wyłączeniem atoli dla czynów, popełnionych z chęci zysku, z zemsty osobistej lub okrucieństwa.

U uchodźców-powstańców skazanych na tułaczkę, zabłysnął promień radości. Bo mieli możność powrotu do swoich rodzin, wykonywać pracę zawodową i budzić dalej ducha narodowego.

Jednakże promień radości rzuca i cień. Jest to obawa, jak zostaną przyjęci. Wszak Komisja Międzysojusznicza w Opolu nie posiadała już prawie żadnej władzy, a administracja była w rękach niemieckich.

Źle przedstawiała się sprawa w powiatach, które miały pozostać przy Niemcach, mianowicie: powiaty opolski, oleski, kluczborski i strzelecki, gdyż tam Niemcy zagarnęli władzę w swoje ręce.

Uchodźcy-powstańcy z północnej części powiatu Oleskiego znaleźli przytułek u pogranicznej ludności w okolicy Praszka-Rudniki w byłej Kongresówce. Część powstańców w miejscowości Kościeliska i okolicy mieli schronienie u mieszkańców w Prośnie, miejscowości położonej tuż przy samej granicy polsko-niemieckiej nad rzeką tej samej nazwy. Śród nas uchodźców byli ludzie młodzi i starsi, którzy z bronią w ręku brali udział w ruchu powstańczym, byli ojcowie rodzin i właściciele gospodarstw rolnych. Z tęsknotą spoglądaliśmy na opuszczony kraj rodzinny, skąd stale napływały niepokojące wieści. Na tułaczce przebywaliśmy już czwarty miesiąc.

Nadszedł dzień 20-go października. Około południa powiadomił mię strażnik graniczny, że na linię graniczną przybyło kilku ludzi, którzy mają życzenie z nami, uchodźcami rozmawiać. W towarzystwie dwóch innych uchodźców udałem się na wskazane miejsce, gdzie po stronie niemieckiej stali: komendant policji, leśnicy lasów państwowych, urzędnik celny, nauczyciel i jeszcze dwóch mężczyzn. Wszyscy byli z Kościelisk i dobrze nam znani nieprzejednani wrogowie polskości. Dziwiło nas przybycie tego „komitetu" aż na samą granicę, przeczuwaliśmy, że od tych ludzi nie można było spodziewać się nic dobrego, raczej chcieli nas widzieć upokorzonych. W międzyczasie przybyli też wszyscy uchodźcy na wspomniane miejsce.

W rozmowie z członkami tego dziwnego komitetu podkreślaliśmy, iż wątpimy, czy mogą gwarantować nam wolność i bezkarność wobec samowoli „Selbstschutzu". Jednakże w dowód szczerości „komitet" wręczył nam imienne przepustki, z których wynikało, że nic nie stoi na przeszkodzie do powrotu. Przepustki te z datą 17 października wydane były w języku niemieckim, polskim, angielskim, francuskim i włoskim, miały podpis niemieckiego przedstawiciela nazwiskiem Franz Tschauder i polskiego P. Przybyły, zaopatrzone były też podpisem i pieczątką kontrolera powiatowego Komisji Międzysojuszniczej, Anglika na powiat Olesno. Ale samego przedstawiciela Komisji Międzysojuszniczej nie było.

Czyż wobec tego „komitet" mógł nam zagwarantować bezpieczeństwo, lub czy to, z czem przyszedł do nas uchodźców, było szczere? To było pytanie, na które nie mogliśmy dać sobie odpowiedzi, i po odejściu Niemców resztę dnia spędziliśmy na rozważaniu i pogawędce, przy czem każdy z nas zapatrywał się na całą sprawę pesymistycznie.

Ostatecznie odezwał się jeden ze starszych uchodźców: „No Knejski — tyś nas wprowadził do Polskiej Organizacji Wojskowej, tyś nas prowadził do powstania, to prowadź nas też drogą powrotną do naszych domostw".

Miałem zatem pójść jako pierwszy. I to zdanie starszego uchodźcy uznali wszyscy koledzy za słuszne, bo rozumowali, że jeżeli ja będę miał swobodę, to onym również nic złego nie grozi, więc mogą powrócić do domu.

Uchwałą nie byłem wcale zbudowany, gdyż dobrze wiedziałem, że Niemcy chcą się na mnie pomścić, za moją pracę w czasie akcji plebiscytowej- a przedtem za czynność w P. O. W. i w czasie powstania. A jednak nie mógłem odmówić słuszności rozsądnemu głosowi starszego druha — ja, który byłem stanu wolnego, a oni obarczeni rodzinami. Postanowiłem przeto uczynić zadość życzeniu kolegów i zbadać położenie.

Nazajutrz był jasny, pogodny dzień. Rano podszedł do mnie, dobrze mi znany z wspólnej pracy niepodległościowej, dziś już nie żyjący, Paweł Łakomy i oświadczył, że będzie mi towarzyszył. Propozycję Łakomego przyjąłem z radością, boć „Co dwóch, to nie jeden" — mówi przysłowie. Zebrali się też niebawem i wszyscy uchodźcy, którzy podawali nam różzlecenia do załatwienia, gdy będziemy znajdować się po tamtej stronie granicy. Nie przeczuwaliśmy ani my, ani oni, że wkrótce znów będziemy znajdować się wśród nich. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Gdy wybraliśmy się w drogę, przezorność kazała nam zabrać nasze rowery. Warunkiem powrotu, według oświadczenia wspomnianego „komitetu", było zgłoszenie się na odwachu policji. Tam też, mijając rodzinne domy skierowaliśmy nasze stalowe rumaki.

Odwach i kwatera policji znajdowała się w budynku szkolnym, w tej samej sali, z której w roku 1919 przy napadzie na Grenzschutz zabraliśmy cztery karabiny maszynowe, o czem główny organizator P. O. W. Józef Grzegorzek wspomniał w książce o pierwszem powstaniu śląskiem.

Przed wejściem na odwach spotkaliśmy komendanta, który właśnie szedł na obiad do mieszkającego w pobliżu zarządcy dworu. Polecił nam na odwachu zaczekać aż powróci. Na odwachu przebywało 6-ciu umundurowanych ludzi, z których jeden podszedł do stołu, otworzył tekę z aktami, i wyciągnął z niej jakiś papier. Był to spis uchodźców. Spojrzałem na listę, gdyż stałem blisko stołu, i pod literą L. spostrzegłem nazwisko mojego towarzysza Łakomego, ale też przy obu naszych nazwiskach czerwony chaczyk, którego przy innych nazwiskach nie było. Po zanotowaniu naszego przybycia otworzył mały zeszyt z czarną okładką, zajrzał do zeszytu, wreszcie książeczkę zamknął i oświadczył, że mamy czekać, aż komendant wróci.

Byliśmy więc w mocy naszych wrogów i cóż znaczyły przepustki? Ogarnięty złem przeczuciem, poprosiłem o pozwolenie wyjścia na powietrze, na co się zgodzono, ale równocześnie wyszło za nami trzech ludzi, biorąc ze sobą piłkę nożną. Nie wiem, czy byli to zapalczywi sportowcy, lub też piłka miała służyć jako pozór gry sportowej przy pilnowaniu nas uchodźców. Staliśmy na schodach przed szkołą, a oni poniżej nas, bawiąc się piłką. Przed wejściem stały również nasze rowery, ale obrócone już w stronę szosy, gdyż w chwili przybycia instynktownie obróciliśmy rowery tak, że mogły być natychmiast użyteczne na wypadek ucieczki.

Uczucie niepewności wzrastało coraz bardziej. Gdy kolega Łakomy zamierzał pójść na stronę, natychmiast znalazł się przy nim jeden z naszych stróżów. Teraz mieliśmy pewność, że dostaliśmy się do pułapki. Aby się z niej wydostać, zacząłem natychmiast objawiać zamiłowanie do gry sportowej. Za moim przykładem poszedł również Paweł Łakomy i teraz przy wspólnym rzucaniu piłki, nasi opiekunowie oddalili się o kilka metrów od wejścia odwachu tak, że wyjście nie było już zbyt zagrożone. Gdy otrzymałem piłkę, silnym kopnięciem ulokowałem ją w pobliskim ogródku, za nią przez płot udał się jeden z naszych stróżw.

Nadszedł moment do działania. Najbliższego stróża silnym pchnięciem w kark powaliłem na ziemię, i droga do ucieczki była wolna, gdyż trzeci stróż oddalony o mniejwięcej 12 metrów, nie mógł przeszkodzić ucieczce. Siedząc już na rowerach, nie spojrzeliśmy poza siebie, to też nie widzieliśmy, jakie wrażenie nasza ucieczka wywołała, lecz wiedzieliśmy, że nastąpi pogoń. Była godzina pierwsza po południu, więc z innego budynku szkolnego zaczęła się wysypywać dziatwa szkolna. Opatrzność sprawiła, że w chwili naszego przejazdu, dopiero parę dzieci zdążyło wylecieć na szosę, więc nie zatamowały nam drogi, ale za to naszym prześladowcom, którzy w międzyczasie udali się za nami w pościg, również na rowerach. Dzieci bowiem zaległy prawie całą szosę i utrudniły im szybki przejazd. Dzięki tej przeszkodzie zostali nasi prześladowcy o mniejwięcej 300 metrów za nami. Istnieje przysłowie, że „ucieczka jest śmieszna, ale pożyteczna", i w tym wypadku istotnie taką była. Przejechaliśmy przeszło kilometr drogi i w pewnej chwili zboczyliśmy na drogę polną, po której zdążaliśmy w stronę granicy. Nagle usłyszeliśmy świst kul karabinowych. Nasi prześladowcy, nie widząc możności nas pochwycić, poczęli nas ostrzeliwać. Padło kilkanaście strzałów, które nam jednak żadnej szkody nie wyrządziły. I tak wśród świstu kul dojechaliśmy do granicy i tu przeprawiliśmy się przez rzekę na stronę polską i niebezpieczeństwo ujęcia nas minęło. Należy zaznaczyć, że polska straż graniczna, czuła na naszą niedolę, nie czyniła nam trudności, zresztą przejście przez zieloną granicę podówczas nie było uważane za przestępstwo.

Niebawem nadjechali też Niemcy, najpierw trzech, a nieco później jeszcze dwóch. Teraz staliśmy naprzeciwko siebie, oddzieleni rzeką, która tworzyła linię graniczną.

Szczęśliwi, że zdołaliśmy zbiec, daliśmy upust naszemu zadowoleniu w formie drwin, na co Niemcy odpowiedzieli: „Habt Glück gehabt" i dodali, że żywi z rąk ich nie bylibyśmy się wydostali.

W międzyczasie nadeszli inni uchodźcy-powstańcy, którzy zwabieni strzałami przybyli na granicę i dowiedzieli się o naszej ucieczce, żywo omawiając zaszły wypadek.

Tak Niemcy pojmowali amnestię, wydaną przez Komisję Międzysojuszniczą.

Trudno opisać rozpacz uchodźców, których marzenie powrotu do swych chat i rodzin było rozwiane, oraz że na nowo skazani są na tułaczkę po cudzych kątach. Ja i kilku kolegów, po przekonaniu się o beznadziejności swobodnego powrotu do rodziny, udaliśmy się do obozu uchodźców w Częstochowie. Pozostali zaś, i przeważnie właściciele gospodarstw rolnych, pozostali jeszcze na miejscu, prowadząc nadal nędzny żywot i dopiero po upływie miesiąca wracali pojedyńczo do swoich domów, gdzie jeszcze długo przed Niemcami ukrywać się musieli.

J. Ludyga-Laskowski, major em.
b. naczelnik „Sokoła" Bytomskiego.

Krótki zarys historji „Sokoła" na Górnym Śląsku.

Przyczynek do historji odrodzenia narodowego ziemi śląskiej.

Ostatnie zbrojne powstanie polskie w 1863 roku, zakończyło się klęską. Najwaleczniejsi krwią swoją zrosili nieszczęsną ziemię polską, zaskrzypiały szubienice, a drogi na daleki Wschód, na Sybir, zaludniły się najszlachetniejszymi synami Polski.

Upadek powstania styczniowego zgnębił i przybił do ziemi Polaków. Z biegiem lat powstało zwątpienie w siły narodu, zaginęła wiara w możność odzyskania wolności przy pomocy oręża.

Tkwiły jednak w narodzie niezniszczalne siły żywotne i silna wola wyzwolenia się z niewoli. Rozbitki powstania 1863 roku wraz z zapaleńcami akademikami zaczęli się skupiać i radzić o przyszłości. W powodzi różnych haseł, powstało również hasło pracy organicznej. „Do pracy, razem do pracy, praca dziś to nasza broń", słowa te stały się hasłem patriotów. Tadeusz Romanowicz, wielki demokrata, działacz społeczny i entuzjasta „Sokoła" pisał wówczas, że: „jeżeli praca organiczna nie obejmie całości życia polskiego inne czynniki zamrą. A że nie mamy ani prawa wyrzekania się i zarzekania czegokolwiek w imieniu przyszłych pokoleń, przeto praca ta ma być środkiem do wyższych celów narodowych. Powszechnie głoszono hasło dobrobytu, natomiast my „Sokoły" daliśmy do tego hasła zdrowie i siły." Dalej mówił Romanowski: „My „Sokoły" nie chcemy siły przed prawem, my chcemy siły na usługi prawa i sprawiedliwości: Siła i zręczność wyrabia odwagę. Nam Polakom nigdy nie brakło rycerskości, ale odwaga nietylko w rycerskim objawia się rzemiośle. Jest jeszcze trudniejszy rodzaj, a tego nam często brak: **odwagi cywilnej,** którą ma wyrabiać „Sokół".

W takiej atmosferze powstało pierwsze gniazdo sokole we Lwowie. Kiedy skrwawiona Ojczyzna nasza jeszcze nie zabliźniła ran swoich, kiedy krwawiła pod trzema zaborami, kiedy zwątpienie opanowało prawie wszystkie umysły polskie, kiedy z biegiem lat wytwarzała się atmosfera niebezpieczna, kryjąca w sobie tendencje kompromisowe wobec rządów zaborczych, wówczas garstka młodzieży akademickiej z Klemensem Żukotyńskim i Ludwikiem Goltentalem na czele założyła w roku 1866 organizację patriotyczną pod nazwą „Sokół".

Początkowo organizacja ta, jako bezpośrednia spuścizna po styczniowem powstaniu 1863 roku miała charakter konspiracyjny i nosiła nazwę „Biały Orzeł". Dopiero w roku 1867 przekształca się na jawną organizację gimnastyczną, a hasłem jej było: „**W zdrowem ciele, zdrowy duch!**"

Powołanie do życia „Sokoła" było wezwaniem rzuconem w twarz tej części społeczeństwa, która gnuśnie i ospale przyglądała się kompromitującym naród polski szacherkom ugodowem z zaborcami. Przez pracę nad ciałem i duchem „Sokół" postanowił dążyć do odrodzenia sił w narodzie, by: „kiedy się wzmocni i ciało i duch, a Ojczyzna zawoła", za pomocą czynu zbrojnego przywrócić Polsce wolność!

Czyż można się dziwić, że organizacja, która za cel obrała sobie tak wzniosłe zadania, znalazła podatny grunt wszędzie tam, gdzie biły polskie serca?

Rozwój „Sokoła", dzięki różnym przyczynom datuje się właściwie dopiero od roku 1884. Rok ten był przełomowy w życiu „Sokoła". Można śmiało powiedzieć, że od roku 1866 do roku 1884 a więc mniejwięcej 18 lat trwała walka twórców idei sokolej z obojętnością własnego społeczeństwa, że w tych właśnie latach wykuwał się program „Sokoła" że w tym właśnie czasie narodzili się zapaleni propagatorzy idei sokolej w osobach Dobrzańskiego, Durskiego i Żulińskiego. Walczą oni o zwycięstwo idei „Sokoła" piórem i słowem. Plon tej pracy jest obfity. Ruch sokoli w zwycięskim pochodzie przekracza kordony, nie uznaje granic zaborczych, obejmuje wkrótce wszystkie skupienia polskie w Europie, a nawet przenosi się za Ocean, do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

A jak wówczas wyglądało u nas na Śląsku? Otóż Śląsk, ziemia nasza, był w tem nieszczęśliwem położeniu, że w żadnem z powstań narodowych udziału nie brał. Odłączony od Polski w wieku XIV, zachował lud śląski swoją polskość, a więc język, wiarę i obyczaje. Sfery wyższe niemczyły się bardzo szybko. Już w wieku XVIII rozróżniano na Śląsku dwie kategorie mieszkańców, właścicieli Dóbr ziemskich i inteligencję, czyli Niemców; oraz chłopa i robotnika, czyli Polaków. Dopiero w drugiej połowie XIX. wieku budzi się ruch narodowy wśród mas polskich i trafia na grunt podatny. W roku 1848-mym Śląsk wybiera do Konstytuanty niemieckiej pierwszych dwóch posłów-Polaków, a to z powiatów bytomskiego i żorskiego. Od tego czasu datuje się coraz intensywniejszy ruch narodowy. Nie sposób wyliczyć na tem miejscu wszystkie fazy odrodzenia narodowego Górnego Śląska. Wychodziłoby to bowiem poza ramy zadania uczczenia 40-lecia pierwszego gniazda „Sokoła" na G. Śląsku w Bytomiu.

W roku 1884 powstaje pierwsze gniazdo sokole **pod zaborem pruskim, w Inowrocławiu. W roku na-**

stępnym powstały gniazda w Poznaniu i Bydgoszczy. W roku 1887 w Szamotułach i Gnieźnie. Potem następuje przerwa. Życie „Sokoła" w zaborze pruskim zamiera na kilka lat. Odżywa na nowo dopiero w roku 1890. Powstają jeszcze gniazda w Pleszewie, Śremie, Kruszwicy a wroku 1894 w Toruniu i Trzemesznie.

Dnia 13 października 1895 zebrało się w Bytomiu 25 osób, którzy stawili się na wezwanie druha Józefa Tucholskiego. Po zagajeniu, Tucholski wyjaśnił obecnym cel i zadanie zebrania, poczem uchwalono jednogłośnie założenie w Bytomiu pierwszego na Górnym Śląsku gniazda „Sokoła".

Rzucone przez tych patriotów górnośląskich ziarno miłości narodowej zaczęło kiełkować, a przez Boga błogosławione plony ich pracy, nie dały długo na siebie czekać. Początkowa ich praca — jak każda praca ideowa — szła opornie, prześladowania władz pruskich wzrastały, ale co gorsza, niechęć własnych współrodaków, tym apostołom sokolstwa polskiego na Śląsku odbierała chęć do dalszej pracy. Jednak kto zbożny i wzniosły cel uczynił głównem zadaniem życia swego, celu dopnie: Ci pierwsi Sokoli śląscy pracowali niestrudzenie, krocząc naprzód w myśl słów Słowackiego: „Nie trać nigdy nadziei, nigdy, nigdy! Kto ma wolę, ten wszystko pokona"!

Ci pierwsi Sokoli na Śląsku, to nie ludzie na stanowiskach, finansowo dobrze uposażeni. To ludzie twardej pracy, ludzie czynu. Ludzie ci ze swoich ciężko zapracowanych groszy płacili za lokal do ćwiczeń, za salkę do zebrań.

Policja pruska rozpoczęła swoją szpiclowską robotę. Urzędnicy państwa ładu i bojaźni Bożej zainteresowali się więc tymi pionierami „Sokoła". Odtąd już żandarm, policjant i szpicel nie spoczął. Rozpoczęła się walka. Walka nie krwawa, nie orężna, lecz walka siły ducha, prawdy i prawa!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Jakub Kowalczyk.

Męczeńska droga działacza śląskiego.

(Z gawęd historycznych p. t. „Siewcy").

(Dokończenie).

Powstał prokurator i w te odezwał się słowa:

— Wysoki sądzie! Przesunęło się przed naszymi oczami mnóstwo świadków. Zeznawali rozmaicie i jak wielu z obecnej na sali publiczności zdaje się sądzić, podsądny wydaje im się niewinnym jak nowo narodzone dziecko. Tak jednak nie jest. Co do mnie nie mogę ani o jotę zmienić mego zdania, wyrażonego w akcie oskarżenia. Stwierdzić muszę z całym naciskiem, że Miarka był zawsze uczciwym człowiekiem i nie dbał o majątek. Owszem, przyznaję to szczerze, miał poważne straty przy jego pracach publicystycznych. Ale, moi panowie, muszę tu zwrócić uwagę wysokiego sądu na jeden bardzo ważny moment. Miarka się starzeje i jest człowiekiem schorzałym, co jest nam wszystkim rzeczą dobrze znaną. Dla tego zapragnął zabezpieczyć się na starość i to też jest przyczyną, że zorganizował Towarzystwo Włościan. Wykalkulował sobie niezgorzej, że będzie mógł przy organizacji z tak olbrzymimi obrotami coś niecoś dla siebie upiec. Miarka wiele dobrego zdziałał, przyznaję to, ale w sprawach pieniężnych już nie jednemu noga się potknęła, który przed tym stał bardzo wysoko. Miarka chciał jaknajwięcej zarobić, swymi opowiadaniami wprowadzał włościan w błąd, podawał fałszywe liczby, cyfry i oświadczenia, on, stary i rozważny działacz, wierzył ślepo w to, co mu agenci, polujący na zysk i zarobek, opowiadali i ani na chwilę nie zastanawiał się nad tym, że wszystkie ich obiecki były najzwyczajniejszym bluffem. Wierzył, bo chciał dostać do swego towarzystwa jaknajwięcej członków, by każdemu coś uszczknąć i na każdym coś zarobić. I rzeczywiście udało mu się wprowadzić tych łatwowiernych, prostodusznych włościan w błąd. A mieli oni z tego szkodę. Że Miarka, jak to słusznie podkreślił pan komisarz Köppen, działał tylko na oko i brał zupełnie lekko swój zakrojony na szeroką skalę plan, to wynika także z doboru ludzi, którymi się otoczył przy swej akcji. Przecie to istoty zupełnie mierne i niezaradne! Ludzie ci na niczem się nie znali. Książki prowadzone były nieporządnie i ciekawy jestem, co byłby wyniknął z tego wszystkiego za galimatias, gdyby tak na serio było się udało Miarce zdobyć te setki milionów marek, o których marzył! Miał pan Köppen świętą rację, że cała sprawa była zupełnie lekkomyślnie traktowana.

— Zeznania świadków, którzy się przesunęli przed naszymi oczami, nie we wszystkim były wiarogodne. Taki na przykład Jasik opowiada nam, że brał pieniądze z różnych źródeł Miarkowych, ale przeczy temu, jakoby nie był otrzymywał od Miarki

pieniędzy za uczenie dzieci. Mnie on nie przekonał. Brał, skąd się dało, a Miarka płacił, skąd mógł. Nieradzik płacił jego długi z kasy obcej, bo wyraźnie przyznaje, że dysponował pieniędzmi także z kasy, przeznaczonej na głodnych. Piórkowskiego nie było można znaleźć, a u niego miała być poważna część pieniędzy, które dotąd się nie odnalazły. Twierdzę więc dalej niezłomnie, że transakcja była obmyślona w Mikołowie, a nie w Warszawie, i to tylko po to, by zmylić poszlaki. Miarka brał pieniądze przeciw statutom Towarzystwa Włościańskiego, bo pokrywał nimi abonament swego pisma „Poradnik Gospodarczy", którego potem abonentom, a raczej członkom towarzystwa nie dostarczał. Czynności tej wprawdzie nie mogę subsumować pod pojęcie oszustwa, ale nosi ona na sobie wszystkie cechy sprzeniewierzenia.

— Co do ofiar na głodnych widzę w postępowaniu Miarki również wszystkie cechy sprzeniewierzenia. Świadkowie, jak na przykład redaktor Fryze z Warszawy, mogą nam tu Bóg wie jakie opowiadać rzeczy o rzekomym uprawnieniu Miarki. Dla czego to dawniej nie zbierano w Warszawie pieniędzy na tak zwany głód duchowy, o którym nam tyle pięknych rzeczy naopowiadał świadek Fryze? Panowie warszawscy chcą poprostu oczyścić Miarkę przed władzami pruskimi, bo im jest żal tego starego agitatora, który teraz dla swej nieoględnej gospodarki może dostać się na długie miesiące do więzienia. Chcą go w naszych oczach oczyścić w myśl zasady: Kruk krukowi oka nie wykole, co w naszych warunkach znaczy tyle, jak: Polak Polaka będzie wspierał i oczyszczał, choćby był święcie przekonany, że ma do czynienia z przestępcą. Niema więc mowy o celach duchowych, bo chodziło wszystkim o zbieranie składek na głodnych fizycznie. O nakarmienie głodnych i przyodzianie nagich chodziło, a nie o jakiś tam później wymyślony głód duchowy.

— Miarce nie można przyznać żadnych okoliczności łagodzących. Miał on wielkie znaczenie u ludu, o czym doskonale wiedział. Był więc powinien z tym większą ostróżnością i rozwagą zabrać się do dzieła, a nie z tą niepojętą i niezrozumiałą lekkomyślnością, jaką nam niniejsza rozprawa ujawnila. Na jego korzyść przemawia jedynie to, że dla ludu polskiego istotnie dużo dobrego zdziałał i że dotąd nie było można mu nic zdrożnego zarzucić. Teraźniejszy proces przedstawiono i okrzyczano za coś daleko większego, niż jest w rzeczywistości. Nie było żadnego międzynarodowego, zakrojonego na szeroką skalę oszustwa, którego centralną figurą miał być właśnie Miarka. Proces jego to zwykłe osobiste potknięcie się o chęć zarobienia na sprawie, pod którą podszywa się rzekomą dbałość o dobro bliźnich. Ta chęć zarobienia na nędzy i biedzie cudzej powinna być należycie napiętnowana i ukarana. Stawiam przeto wniosek o skazanie Miarki na trzy razy po trzy, a sumarycznie na osiem miesięcy więzienia.

Prokurator usiadł i rozejrzał się triumfująco po ławie sędziowskiej, zadowolony ze swego karkołomnego plaidoyer.

— Udzielam głosu obrońcy, panu adwokatowi dr. Porschowi! — oznajmił przewodniczący.

— Jestem panu prokuratorowi niezmiernie wdzięczny za słowa uznania, jakie wypowiedział na wstępie pod adresem mego klijenta, — rozpoczął swe wywody obrońca. — Mocno mi one ułatwiły me zadanie. Powtarzam jego słowa, bo napełniły mnie niezmiernym zdziwieniem i wskutek tego zanotowałem je sobie dosłownie. „Stwierdzić muszę z całym naciskiem, — powiedział pan prokurator, — że Miarka był zawsze uczciwym człowiekiem i nie dbał o majątek". Tak jest, wysoki sądzie! To jest kwintesencja,, to treść całego życia tego niezmordowanego pracownika na niwie górnośląskiej. Miarka był zawsze uczciwym człowiekiem i nie dbał o majątek. Był uczciwym człowiekiem, gdy do niego w 1871 roku przystąpił kusiciel i ofiarował mu blisko trzysta tysięcy marek, jedynie za to, że miał się powstrzymać od agitacji wśród ludu i nie przeszkadzać konserwatywnym i liberalnym kandydatom na posłów, przy ich agitacji wyborczej. Wysoki sądzie! Trzysta tysięcy marek, to fortuna, to majątek, do którego niejeden śmiertelnik daremnie tęskni i nigdy go zebrać nie może. Miarka mógł go zgarnąć lekką ręką i żyć sobie wygodnie i bez trosk na jakim dużym majątku ziemskim jako jaśnie pan i wielki właściciel ziemski. Miarka tę pokusę oddalił od siebie a, jak sam przyznaje, niełatwo mu to przyszło. Ale zwyciężył pokusę, bo ma sumienie i jest wiernym synem Kościoła katolickiego, który nie pozwala szachrować sumieniem. Jakże on nam to pięknie opisał w swej gazecie! „Nie mogłem się modlić w czasie pokusy' — powiada, — bo ilekroć klękałem przed ukrzyżowanym Zbawicielem, zdawało mi się, że pyta mnie, poco do niego przychodzę? Ze zdrajcami nie mam nic do czynienia! Idź precz odemnie!" Takie cięż-

kie wyrzuty Zbawiciela słyszał Miarka, gdy kusiciel nie chciał odstąpić od niego i natarczywie ofiarował mu srebrniki. Miarka zwyciężył. Odrzucił pokusę, oddał zostawione mu w mieszkaniu pieniądze i nie sprzeniewierzył się swemu ludowi. Wyświadczył temu ludowi dużo dobrego, przyznaje sam pan prokurator. I czy pan, panie prokuratorze, na serio myśli, że człowiek tego pokroju mógłby na stare lata sprzeniewierzyć się swym głęboko zakorzenionym zasadom moralnym, które są jego drugim ja? Panie prokuratorze! Wolno panu przedstawiać w odpowiednim świetle prawdziwych przestępców i zbrodniarzy. Jest to nawet pańskim obowiązkiem. Ale niech pan wystrzega się oczerniać człowieka uczciwego, jak go pan sam nazywa, i imputować mu myśli i uczynki, w które w rzeczywistości pan sam nie wierzy. Zresztą poco tu szermować abstrakcjami i wnikać w głębię duszy bliźniego, kiedy mamy wyraźne świadectwo, że Miarkę wyprowadzono w pole przy jego staraniach o pożyczkę. Świadek Schiemann wyraźnie podkreślał, że Miarkę podtrzymywano w mylnej wierze i nie uczyniono nic, by mu oświadczyć, że pożyczki dla włościan nie dostanie. Czy on po tylu staraniach i zabiegach mógł chociażby na chwilkę przypuszczać, że wobec danych mu przyrzeczeń pożyczki nie otrzyma? Nie, panie prokuratorze! Miarka jest tu ponad wszelką wątpliwość czysty i nie spada na niego ani krzta podejrzenia, jakoby szafował cudzą własnością na swą korzyść.

— A przyjrzyjmy się teraz na chwilkę dwom głównym świadkom, na których pan prokurator oparł swój akt oskarżenia! Cóż to za marne figury! Świadek Dakowski bez rumieńca wstydu przyznał się, że denuncjował Miarkę z zemsty za to, że go za kradzież wydalił z pracy. Świadek Köppen zaś polegał na informacjach tego moralnie nic niewartego indywiduum i tak oboje dostarczyli panu prouratorowi piasku, z którego ukręcił bicz na mojego klijenta. Inni świadkowie zeznaniami swymi obrócili w niwecz zeznania tych dwóch fałszerzy opinii o panu Miarce, z których jeden jest nawet złodziejem, bo się tu przed wysokim sądem przyznał do kradzieży. I takim osobnikiem nie wstydzi się popisywać jako swym informatorem bądź co bądź urzędnik państwowy, noszący tytuł komisarza nadgranicznego! Żałuję wysokiego rządu, że nie ma lepszych ludzi na to stanowisko. Panie prokuratorze, pan byłby lepiej zrobił, gdyby pan był w swym plaidoer pominął nazwisko tego niefortunnego informatora swego! Dla nas jest on więcej, niż niczym, a zobaczy pan, że kiedzś będzie miał pan jeszcze z nim do czynienia jako przedmiotem swych dociekań prawno-karnych. Wtedy przypomną się panu me słowa dzisiejsze, sumienie pańskie robić będzie panu wyrzuty, że pan na tak kruchej podstawie się opierając, starał się poszarpać na szmaty moralny charakter zacnego człowieka, którego cała wina polega na tym, że nie dmie w tę samą trąbę, w którą pan dmucha, jako urzędnik pruski.

— Nie zna też pan wcale psychiki narodu polskiego. Jedną rzecz trzeba sobie uprzytomnić. Polacy, choć poćwiartowani na kawałki pod względem politycznym, bynajmniej nie zrezygnowali z poczucia swej wspólnoty narodowej. Jest to zrozumiałe. My Prusacy na przykład walczyliśmy o Szlezwig i Holsztyn z Duńczykami do spółki z Austrią, ponieważ uważaliśmy, że tamtejsi Niemcy są naszymi braćmi i że należy ich wyzwolić z pod jarzma duńskiego. To samo zrobiliśmy z Alzacją i Lotaryngią, odebrawszy je Francuzom. Polacy mają to samo poczucie miłości narodu własnego, bez względu na to, czy rodacy ich mieszkają pod Rosjaninem, Austriakiem, czy pod naszymi rządami. Krew nie woda, panowie! Nie mogę więc brać za złe Polakom z pod Moskala, że żywią sympatie do naszych Polaków i że łożyli ku naszemu wielkiemu zdziwieniu olbrzymie ofiary dla głodnego ludu śląskiego, głodnego i fizycznie i duchowo. Nam nie wolno podejrzywać zeznań świadka Fryzego, jakoby chciał wybielić Miarkę. Przedewszystkim mój klient nie miał przez cały czas aresztu śledczego najmniejszej styczności z kimkolwiek z Warszawy. Nikogo nie prosił, żeby go przyszedł bronić w jego procesie. I czy panowie mogą choć na chwilkę przypuszczać, że ofiarodawcy zechcieliby bronić trwoniciela swych ofiar i człowieka, który dysponował nimi wbrew przeznaczeniu? Według zdrowego rozsądku wszyscy byliby rzucili się na niego jako oszusta i zdezawuowali go przed wysokim sądem, który właśnie rozpatruje jego sprawę. Tak uczy nieomylna logika i inaczej być nie może.

— Pan prokurator twierdzi, że Miarka „brał pieniądze przeciw statutom Towarzystwa Włościańskiego, bo pokrywał nimi abonament swego „Poradnika Gospodarczego", którego potym członkom nie dostarczał". Prawda, że nie dostarczał, bo jak miał to robić, kiedy od dziewięciu miesięcy trzymany jest w areszcie śledczym! Wypuśćcie go, panowie sędziowie,

z więzienia a natychmiast zabierze się do zredagowania zaległych numerów i dostarczy je wszystkim abonentom, jak to zamierzał zrobić, gdy jeszcze nic nie wiedział o grożącym mu aresztowaniu. Nadmienię jeszcze, że abonament bierze się według zwyczaju zgóry, który to moment jeszcze bardziej uwydatnia niewinność podsądnego.

— Zreasumowawszy wszystkie przezemnie przytoczone momenty, z nieubłaganą konsekwencją dojść musimy do uniewinnienia redaktora Miarki. O taki też wyrok, wysoki sądzie, proszę dla niego.

— Czy obrońca pan Pohl zamierza zabrać głos? — zapytał przewodniczący.

— Dziękuję! Do tego, co mój kolega dr. Porsch powiedział, nie mam nic do dorzucenia. Solidaryzuję się całkowicie z jego wywodami.

Sąd udał się na naradę. Trwała ona dobrą godzinę, co wskazywało na to, że sędziowie gruntownie obmyślali swój wyrok i że szukali różnych kruczków i haczków, by podsądnemu przypiąć porządną łatkę. Tak też istotnie było. Wróciwszy na salę obrad, przewodniczący odczytał wyrok jak następuje:

— W imię króla! Od zarzutu oszustwa sąd odstępuje, bo, aby kto miał zamiar zjednać sobie nieprawnie korzyści i aby inny był poszkodowany, czego paragraf o oszustwie wymaga, tych dwóch momentów podsądnemu nie udowodniono. Sąd nie wdaje się w badanie kwestii, czy można jeszcze znaleść w jego postępowaniu inne cechy tego przestępstwa. Uwalnia się zatem oskarżonego od zarzutu oszustwa.

— Natomiast oskarżony przyznał, że miał mieć w kasie włościańskiej 14.988 marek i że był za to odpowiedzialny. Lecz w kasie, po skrupulatnym zliczeniu pozycyj, znalazło się tylko 6.224 marki. Chociaż przyznaje się na korzyść oskarżonego, że należało mu się z kasy za „Poradnik" od 2.500 członków za jeden rok 5.000 marek, licząc po dwie marki od członka, i gdy się doliczy tę sumę do owych 6.224 mraek, co uczyni razem 11.224 marki, to brakuje jeszcze marek 3.764, które wziął za drugi rocznik „Poradnika", którego jednak, jak sam przyznaje, nie wydał, ponieważ pismo od czasu jego aresztowania przestało wychodzić. Dla tego jest winien, że użył dla siebie pieniędzy obcych, sobie powierzonych. Dla pokrycia owych 3.764 marek użył oskarżony pieniędzy z „ofiar na głodnych", do czego nie miał prawa. I to jest jego drugie przewinienie. Natomiast nie dopuścił się przestępstwa, że z ofiar na głodnych wziął 2.140 marek za „Katolika", ponieważ wynika z zeznania redaktora Fryzego, że Miarka mógł się uważać za upoważnionego do tego. Zatem sąd uwalnia oskarżonego od zarzutu oszustwa i sprzeniewierzenia w jednym wypadku, a uznaje go winnym sprzeniewierzenia w dwóch wypadkach. Sąd zgadza się na wniosek prokuratora, rachuje za każdy wypadek po trzy miesiące i liczy razem pięć miesięcy. Z dziewięciu zaś miesięcy aresztu śledczego odlicza na korzyść dwa i pół miesiąca, tak, że ma jeszcze do odsiedzenia dwa i pół miesiąca. Skazuje go się również na poniesienie kosztów procesu. Oskarżonego zwalnia się aż do prawomocności wyroku z aresztu śledczego.

Po usłyszeniu tego wyroku wyrwało się z piersi nieszczęśliwego redaktora ciężkie westchnienie, a długo powstrzymywane łzy głębokiej krzywdy, jaka go spotkała, zaczęły gwałtem spływać po wynędzniałych, do szarej ziemi podobnych ,policzkach. Adwokaci ze współczuciem uścisnęli mu prawicę, przystąpił także i uścisnął mu dłoń ks. Stanisław Radziejewski, jego prawny następca w redakcji i wydawnictwie, bo w czasie jego więzienia sprzedała żona jako jego prawna zastępczyni całe wydawnictwo księdzu, ratując w ten sposób resztę stopniałego mająteczku i uchodząc z nim do Cieszyna. A że miała rację, pokazał proces. Koszta jego bowiem były, przy tej masie wezwanych świadków, bardzo pokaźne, i kasa sądowa byłaby go obłożyła aresztem. Miarka opuścił więzienie, złamany fizycznie ciężką chorobą. Adwokat dr. Porsch założył rewizję procesu do sądu Rzeszy w Lipsku, wskazawszy w jej uzasadnieniu błędy i pomyłki sądu pierwszej instancji, a Miarce oświadczył w głębokim przekonaniu swej wiedzy prawniczej, że w tym wypadku rewizja musi być uwzględniona. Miarka jednak stracił już dawno wiarę w sprawiedliwość niemiecką. Gdy jako tako przyszedł z powrotem do sił fizycznych, cofnął rewizję i zgłosił się dobrowolnie do więzienia w Pszczynie. Odsiedział w jesieni 1881 roku podyktowane mu dwa i pół miesiąca więzienia w nadziei, że po zupełnym odzyskaniu zdrowia, będzie mógł powrócić do „Katolika" już nie jako naczelny redaktor, ale jako jego współpracownik. Po odsiedzeniu kary i spędzeniu zimy w Cieszynie, wybrał się na wiosnę do Lwowa, dokąd go zaproszono, by dopomógł swym doświadczeniem do zorganizowania Związków Włościańskiego. Czego na Śląsku nie mógł dokonać, to udało mu się we Lwowie. Na wielu zebraniach położył podwaliny pod organizację, wszędzie witany i czczony jako budziciel

ruchu ludowego na Śląsku. W czasie tej wytężonej pracy zaniemógł. Lekarze stwierdzili próchnienie kości w lewej nodze, spowodowane cukrzycą. Radzili choremu udać się do Wiednia do kliniki. Na to nie miał pieniędzy. W klinice w Cieszynie musiano mu amputować nogę. Operacja jednak niewiele pomogła. Choroba zjadała resztki jego sił. Tuląc do serca poświęcony przez Leona XIII krzyż z odpustami w godzinie śmierci, i opatrzony św. Sakramentami dokonał nad ranem święta Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny, 15 sierpnia 1882 roku, otoczony liczną rodziną, swego pracowitego żywota, pełnego poświęceń, męczarń i zawodów. Spoczął na cmentarzu cieszyńskim.

Z Karolem Miarką zeszedł do grobu jeden z najwięcej zasłużonych około sprawy polskiej działaczy na Śląsku Górnym. W czasie kulturkampfu odegrał na prawdę opatrznościową rolę. Nieustraszony i nieugięty, nieprzystępny dla pokus rządu pruskiego, bronił mężnie języka polskiego i wiary po ojcach odziedziczonych. Daleko mu było do wskrzeszenia ruchu narodowego w tej dzielnicy polskiej. Ale też inaczej być nie mogło, bo rozwój narodowy musi iść normalną drogą naturalną i nie może robić przeskoków. To zadanie spełnili jego epigoni. Nie umniejsza to jednak jego niespożytych zasług w odrodzeniu Górnego Śląska. — Jako kuriozum należy jeszcze przytoczyć, że przepowiednia dr. Porscha co do Köppena ziściła się dosłownie. Dostał się za różne łajdactwa do tej samej celi więziennej, w której tak długo z jego winy trzymano niewinnie Miarkę.

Rękopisów redakcja nie zwraca. — Redaktor przyjmuje w każdą sobotę w godz. od 4—6 popołudniu.
Adres redakcji i admin. „Placówki" Katowice, Ks. Damrota 8, III. — Konto P. K. O. 302 603 Katowice.
Odpowiedzialny wydawca-redaktor: Józef Grzegorzek, Katowice, ul. Ks. Damrota 8.
Drukarnia Antoniego Gorzelika i Jana Wąsika. Katowice, ul. Kościuszki 39. — Telefon 302-19.